

Uluda

Nie umiała powiedzieć, jak długo biegła, ani przed kim i dlaczego uciekała. Intuicja podpowiadała jednak, by się nie zatrzymywała, by nie ustawała, bo z oddali wciąż docierały do niej ohydne odgłosy polowania, wydawane przez ścigające ją nieznane stworzenia.

Powoli dawało też znać o sobie wyczerpanie; coraz częściej się potykała i traciła równowagę próbując ponownie wstać.

Ścieżka, którą podążała, była wąska i kręta, ale i tak o wiele trudniej byłoby przedzierać się przez otaczający ją zwartym murem, ponury las. Jego wysokie, poskręcane drzewa, o ciemnych, bezlistnych gałęziach, niemal całkowicie blokowały dostęp światła. W powietrzu czuć było odrażający zapach, który drażnił nozdrza i sprawiał, że zbierało się na mdłości. To był zapach rozkładu i wszechobecnej śmierci.

Nagle zahaczyła stopą o dziwny, poskręcany korzeń i runęła jak długa. Po raz pierwszy usłyszała swój głos – jęknęła głośno i z cichym przekleństwem na ustach spróbowała wstać. Jakaś mazista substancja zastępowała twarde, stabilne podłoże, więc udało się to dopiero za trzecim razem. Posępne wycie nieznanymi stworzeniami zaczynało nabierać mocy, dlatego nie oglądając się, kontynuowała ucieczkę. I wtedy ujrzała przed sobą wąski pasek światła, przedzierającego się przez atramentowoczną ścianę drzew. Przyspieszyła, nie zważając na gałęzie bijące po twarzy. Na wyczerpanie, ból poranionych do krwi stóp. Widziała już nie tylko jaśniejszy przesmyk, ale była także pewna, że za chwilę uda się wydostać z ponurego lasu. Minęła ostatnie metry i z westchnieniem ulgi, wbiegła na dziwną plażę. Jednak radość była przedwczesna, bo krajobraz był tu równie mroczny, pogrążony w wiecznym zmierzchu. Gdy podniosła głowę, ujrzała, że niebo nie było, jak tego podświadomie oczekiwała, zaciągnięte chmurami. Słońce lśniło niczym matowy kleks na tym stalowoszarym nieboskłonie. Stała na skraju plaży, lecz kiedy kucnęła i nabrała odrobinę piasku do ręki, przesypując go pomiędzy palcami, ze zdumieniem zauważyła, jak bardzo był niepodobny do czegokolwiek, co widziała w swoim życiu. Drobną ziarenką o ciemno-grafitowym kolorze i ostrych krawędziach, raniły skórę dłoni, więc czym prędzej strząsnęła je na ziemię, a potem przyjrzała się pozostawionym czerwonym śladom. Szybkim krokiem podeszła w kierunku czegoś, co na pierwszy rzut oka przypominało morze. Jednak czarna, gęsta jak smoła woda, była niczym zastygła lava i tylko lekko falowała, poruszając się pod wpływem silnego wiatru, szarpiącego włosy dziewczyny z niespotykaną siłą. Pomimo tego, na plaży panował niczym niezmacony spokój, nie drgnęło ani jedno ziarenko dziwnego piasku.

Rozejrzała się dookoła. Na prawo, w odległości kilkuset metrów, na niewielkim klifie, widać było wyraźnie nadgryzione zębem czasu ruiny. Nad nimi krążyły ptaki, o oryginalnym ognisto-czerwonym upierzeniu. W tym monotonnym krajobrazie, przyciągały wzrok niczym magnes.

Nie miała wielkiego wyboru. Słyszając za sobą ponowne odgłosy pogoni, ruszyła w kierunku ruin, starając się wykrzesać z siebie wszystkie siły. Biegła, nie zważając na zmęczenie, na stopy, które ranił piasek, na całą absurdalność tej sytuacji. Nie miała teraz czasu, by zastanawiać się, jak znalazła się w tym świecie, skoro wieczorem zasnęła we własnym łóżku, szczelnie otulona ciepłą kołdrą. Teraz najważniejsza była ucieczka.

Za sobą usłyszała ponure wycie. Choć nie powinna była tego robić, obejrzała się przez ramię, a to, co ujrzała, dodało jej skrzydeł. Na skraju lasu, z którego z takim trudem się wydostała, stało kilka ohydnych stworzeń, o krępych, pokrytych mieniącą się łuską ciałach i ogromnych, płonących jak rozżarzone węgle, ślepiach.

Dziewczyna biegła już pod górę, choć za każdym krokiem bosa stopy zapadały się w sypkim piasku. Wiedziała, że jeśli nie znajdzie schronienia, to czeka ją los znacznie gorszy od zwykłej śmierci.

Ołowiane nogi poruszały się miarowo bez udziału świadomości. Zbocze stawało się coraz bardziej strome, a ziemia lepiej ubita, dzięki czemu mogła ponownie przyspieszyć. Ruiny były teraz oddalone o zaledwie kilka metrów. Z jękiem dobiegła do ogromnej, otwartej na oścież bramy i potknąwszy się, upadła. W tej samej chwili pogoń znalazła się tuż przy niej, wyjąc jak piekielne demony, triumfujące nad potępioną duszą. Ale ociekające śliną kły chwyciły powietrze, i choć wyraźnie czuła ich gorące, smrodliwe oddechy, oczekiwany atak nie nastąpił.

Powoli odwróciła głowę. Zziąjane jak i ona potwory, siedziały tuż przed progiem, jak gdyby zatrzymane przez niewidzialną barierę. Ich ogromne ślepie, lśniły niczym czerwone lampki, na tle grafitowego nieba. Wbrew pozorom nie było w nich ani okrucieństwa, ani wrogości. Ożywiało je za to nieuchwytnie tchnienie życia, obcego i dziwnego, z jakim nigdy dotąd się nie zetknęła. Nie miała ochoty dłużej im się przyglądać, więc powoli podniosła się z klęczek i czujnie rozejrzała dookoła.

Powoli otaczała ją mgła. Napływała gdzieś od tyłu, a wraz z nią słodkawa woń nieobecnych kwiatów. Skrzywiła się, jakby ten zapach był jej wyjątkowo niemiły.

Mgła zacierała kontury oddalonych o kilka metrów budynków i porzuconych aut. Tak niewyraźnie rysowały się w nadciągającej mlecznej poświacie, że przez moment wydały się nieprawdopodobnie obce, niczym potwory z najmroczniejszych baśni.

Ostrożnie, z wahaniem, uczyniła krok do przodu. Potem jeszcze raz rozejrzała się dookoła.

Znajdowała się pomiędzy rzędami czegoś, co wyglądało na jednopiętrowe, mocno zniszczone domy. Wszystkie okna były czarne. Po obu stronach, bez wyraźnego porządku, stały porzucone samochody, z rozbebeszonymi wnętrzościami i wybitymi szybami, a ulice były przykryte grubą warstwą przywiedłych liści. Mgła stała się jednak zbyt gęsta, aby mogła zauważyć więcej szczegółów okolicy, w której się znajdowała.

Potem po raz kolejny, zadała sobie to samo pytanie.

Gdzież u diabła mogła się znaleźć?

I jakim sposobem?

Gorączkowo rozejrzała się dookoła, szukając czegokolwiek, co dałoby jej punkt zaczepienia w świecie, jawiącym się, jako całkowicie obcy. Bez skutku.

Stopniowo zaczęła sobie uświadamiać, że obok odurzającego zapachu kwiatów, pojawiło się coś jeszcze. Była to słaba, przyprawiająca o mdłości woń.

Owionął ją lekki podmuch wiatru. Zaraz potem powróciła cisza, jakby coś usiłowało ją ostrzec, lecz starczyło mu sił zaledwie na jedno drżące tchnienie. Poruszone nim liście zawirowały przez chwilę, w dzikim chaotycznym tańcu, by opaść i zatrzymać się u jej stóp.

Jeszcze jeden podmuch.

Liście odfrunęły w mleczną mgłę.

Znów zapanowała martwa cisza.

Ale ona wyczuła, że te krótkotrwałe powiewy niosły ze sobą jakąś groźbę.

Dziewczyny nie opuszczała irracjonalna pewność, że została złapana w pułapkę bez wyjścia. Lecz nawet jeśli coś obserwowało, potrafiła to zaledwie wyczuć, nie dojrzeć.

Choć powietrze było wilgotne i parne, prześladował ją wewnętrzny chłód - zimny, nasilający się z każdą chwilą strach. Nie mogła opanować drżenia, walcząc z nadpływającymi uczuciami.

Podmuchy zamarły.

Otoczający ją świat odzyskał swój niczym niezmacony spokój.

Niepewnym krokiem ruszyła do przodu, podążając w stronę nieznanego zagrożenia. Jednak z pewnością nic nie mogło być gorsze, od tych wynaturzonych potworów, które usiłowały dopaść jej w równie przerażającym lesie.

Po przejściu paru kroków, nogi nabrały pewności, a oczy zaczęły zauważać coraz więcej szczegółów. Z obu stron ciągnęły się kute w żelazie płoty, osadzone w bladych, odrapanych słupach. Spróbowała otworzyć najbliższą furtkę. Nie była zamknięta, ani nawet zabezpieczona jakimkolwiek zamkiem. Głośne skrzypienie zawiasów, wywołało tylko grymas niezadowolenia.

Teraz bowiem, choć w pobliżu nadal nie było nikogo widać, nie miała żadnych wątpliwości, że jest obserwowana.

W plecy uderzył kolejny podmuch, niosący ze sobą jeszcze bardziej intensywną, słodkawą woń, o nieznanym źródle.

Przeniknęła ją.

Wzmogła strach.

I obudziła coś jeszcze... Podniecenie.